Plamy na obrusie.
Boże Narodzenie
w Krakowie
i na Florydzie.

Bożena U. Zaremba

Biały (na stół wigilijny nie może przecież być inny), lniany, z przepięknym ręcznym haftem makowskim. To jeden z ulubionych i bardziej hołubionych przeze mnie podarunków od mojej Mamy. „Będziesz miała na amerykańskim stole kawałek Polski”. Poza tym zdobyczny z czasów, kiedy takie skarby musiało się albo wystać w kolejce, albo załatwić. Zasługuje na to, żeby go co roku wypieścić – prać osobno w płynie do białych rzeczy, lekko nakrochmalić, suszyć na wieszaku, broń Boże nie w suszarce. Potem zwilżyć, zwinąć i na chwilę odłożyć. Tęsknię za instytucją magla, ale cóż, nie ma rady, trzeba prasować ręcznie, Zabiera mi

to około godziny – każdy haft powoli i dokładnie obrysowuję żelazkiem.

Plama. Niezbyt zręcznie nalewałam czerwony barszcz. Ale byłam na siebie zła! Próbowałam potem sprać szarym mydłem, traktować wywabiaczem do plam, wybielaczem (niechętnie), ale ślad został. W końcu dałam za wygraną. Czerwone plamy pojawiają się praktycznie co roku, a to z barszczu, a to z buraczków czy brusznicy, które obowiązkowo podaję do kaczki w pierwszy dzień Świąt. Potem są beżowe od kompotu z suszonych śliwek, a może od makowca? Zielone od świeżych gałązek sosnowych ze stroika, jasne, tłuste od świec. Plamki, jak koraliki na sznureczku, opowiadają o tradycjach bożonarodzeniowych naszej rodziny.

Od początku Świąt spędzonych poza krajem starałam się celebrować polskie i rodzinne obrzędy jak najwierniej, choć nie zawsze jest to możliwe. W wielu miejscach, gdzie mieszkaliśmy nieosiągalny był mak albo karp, a mrożony jest przecież zupełnie bez smaku. Pamiętam, jak w Polsce stało się po karpia w kolejce – długo, często na mrozie i wietrze. Przywiozą, czy nie przywiozą? W końcu jest, ale sprzedawczyni od razu uprzedza, że dostawa nieduża. Na jakieś piętnaście osób przed nami zabrakło. „Cholera jasna!" kipi facet przed nami. „Co za banda!" oburza się ktoś inny. A mój Tato? Obrócił się na pięcie i pogodnie zaintonował: „Były rybki, nie ma rybek". Zawsze pogodny i

optymistyczny. Mama była zdecydowanie bardziej napięta. No, bo mimo pomocy domowników, przecież tyle roboty – świąteczne porządki, zakupy i tyle gotowania i pieczenia: makowiec, cwibak, pierniczki. Na szczęście karpiem nie musiała się specjalnie przejmować, bo należał do obowiązków Taty. Jakoś zawsze go „zdobył". Potem wpuszczał do wanny na kilka dni. Raz na jakiś czas trzeba było dolewać wody, żeby dostarczyć świeżą porcję tlenu – ryby tłoczyły się pod kranem i chciwie łapały strumień. Chowałam się, jak szły na szafot….

Brak niektórych potraw zastąpiłam innymi tradycjami, których w moim domu rodzinnym nie było. Wigilię zawsze rozpoczyna gwiazda muzyczna: jazzowa, czarowna interpretacja „Cichej nocy" w wykonaniu tria Andrzeja Jagodzińskiego. Czytanie z Ewangelii o przyjściu na świat Jezusa. Ale nie zawsze musi być powaga. Na przykład do kilku uszek, do farszu, chowam albo orzeszek, albo migdał, na szczęście. Ale radocha, jak się komuś takowy przytrafi! Potem zgadujemy, ile było wszystkich uszek. „91" mówi syn. „Mniej", odpowiadam. „57" mówi córcia. „Więcej" … Wigilijna wieczerza zawsze jest także chwilą podsumowania całego roku. Jakie sukcesy nas spotkały? Co nas wzruszyło, zmartwiło, zachwyciło?

Znowu czerwonawa plama. Może od wina? W moim rodzinnym domu do Wigilii nie pijało się ani wina, ani innego alkoholu, który w ogóle rzadko gościł na stole. Kalifornia, nasz pierwszy przystanek w Ameryce, nauczył nas delektować się winem, które jest przecież częścią liturgii. Tak jak chleb – na naszym stole chałka, co dopiero z pieca wyjęta, błyszcząca i brzuchata! W czasie Wigilii zawsze tak, jak opłatek, łamiemy ją, nigdy kroimy.

Św. Mikołaj przychodził do nas w Polsce 6 grudnia, ale w Wigilię wypatrywałyśmy z siostrą Gwiazdora, zawsze z dreszczykiem

podniecenia, chociaż w czasach, kiedy wszystkiego brakowało, z prezentami było krucho. To często były książki, czasem jakiś kołnierzyk z kordonku zrobiony przez Mamę albo sweter czy szalik przez nas wydziergany. Dostawałyśmy też pomarańcze – w tamtych czasach rarytas. Do dzisiaj pachną dla mnie egzotycznie i noszą w sobie odświętną aurę. Jako dziecko nie mogłam się nadziwić, jak to możliwe, że za każdym razem przegapiłam Gwiazdora. Powiewająca na wietrze firanka i trzepocąca głośno okienna framuga dawały znak, że właśnie był i zostawił pewno pod choinką upominki. Dla naszych dzieci czar wiary w Św. Mikołaja dawno już zniknął, ale urok atmosfery niespodzianki jest zawsze obecny, gdy nagle, w jakiś magiczny sposób pojawia się przy drzwiach worek pełen prezentów.

Ręka boli mnie już od przyciskania żelazka, ale podziwiam finezyjne hafty. Jaka perfekcyjna robota! Przypominają mi się ozdoby na choinkę robione z aptekarską precyzją przez mojego Tatę. Dość wcześnie odszedł od zawodu architekta i właśnie do takich zajęć wykorzystywał swoje wspaniałe zdolności manualne i artystyczne. Z wydmuszek (ale przewracał oczami z zachwytu spijając jajko!) robił główki pajacyków, potem malował flamastrem roześmiane buzie, z gofrowanej bibułki robił misterne kryzy, a z kolorowego papieru różnobarwne czapki. Na czubku zawiązywał sznureczek i takie, jedyne w swoim rodzaju zabawki wieszaliśmy na choince. Po latach bibułka wypłowiała, wydmuszki się wykruszyły, dawno już z nich nic nie zostało. Na

naszej amerykańskiej choince ozdoby własnoręcznie robione w czasach wczesnoszkolnych przez nasze dzieci uzmysławiają nam co roku, jak czas upływa.

Jeszcze ostatni rzut oka, czy nie przeoczyłam jakiegoś miejsca, potem ostrożnie składam obrus tak, żeby hafty nie wypadły na zgięciach. Złożony, wygładzony, wypieszczony chowam – na następny rok.